

Pradta, jako rezydent napoleoński. Ob. Danton, książę Elku? On sam wolałby jednak: „Książę Gandawy”. I to mi-mo renomy pań polskich.

Zarty żartami, ale tak właśnie ty-puje logika procesu historycznego. Trudno natomiast kibicować bohaterom historii, jeśli rozeznanie macą re-likty poglądów wyniesionych z innej epoki. Przydarzyło się to chyba i Przy-byszewskiej, bo skąd wzięła tę mili-tarną prowokację Robespierre'a? Może z Aularda? Bardzo słusznie Krasowski to pominął.

Spróbujmy teraz dopełnić wize-runku Robespierre'a dwoma ostatni-mi trychami.

Sprawa terroru. Mathiez serwuje furę dokumentów rozbijających za-starzany stereotyp krwawego dykta-tora. My sami zaś mamy wciąż nowe dowody, że kontrrewolucyjna prawica nie certoli się z użyciem siły. Par-tyzancka, rozruchy, spiski w armii, zamachy w Paryżu... André Che-nier, poeta z twarzą anioła, pisał:

O Cnoto! Ten sztylet, jedyna nadzieja na ziemi
Jest twym orężem świętym...

Prowokacje. Hebertystów fałszy-wie oskarżyli o zdradę dantonistów, konkretnie Fabre d'Eglantine, poeta i aferyzta. Potem te krwawe wy-czyny w terenie, które trzeba było

karać. „Spisek termidorjański two-rzą odwołani prokonsulowie — stwierdza historyk — Termidor był koalicją strachu, egoizmu i demoralizacji”. Odwołany z Lyonu Fouché broni się: „Każdy akt wy-baczenia jest ko-trrewolucyjny!” Sęd-zia z Lyonu pod zarzutem współ-udziału pisze: „Oświadczam, że by-łem raczej obrońcą niż sędzią tych, którym można przypisywać błąd niż złą wolę”. To Robespierre oskarża o przelew krwi, to Fouché organi-zuje spisek przeciw oskarżycielowi. Nawet Barras odnotowuje w pa-miętnikach, że Robespierre mitygował terrorystów: „Idziecie na rękę wrogom republiki, którzy drżą, by się u nas nie uspokoiło”. To jest po-ważny argument polityczny.

Sprawy społeczne. Od początku wieku Francja wydaje socjalistów utopijnych występujących przeciw religii i własności prywatnej, w imię prawa elementarnej gwarantują-cego każdemu środki utrzymania i pracę. Pogłosy tych idei wracają u Robespierre'a niemal dosłownie. Mo-żna powiedzieć, co z tego, ci panowie przeżywali burzę mózgow, za miesiąc przeczuli już sami sobie. Cat-Mackiewicz warknął kiedyś:

„Państwo nie jest teatrykiem re-wiowym, gdzie chodzi o jak najwię-kszą ilość pomyslowych numerów... Otóż co innego myśl polityczna, co in-nego zagadnienie władzy”.

Przypuszczam, że podobnie myślał sam Robespierre. W jego organie „Obrońca Wolności” współpracował Pierre Dolivier, autor głośnej pod-ówczaś pracy „O sprawiedliwości elementarnej”. Doktryna podobna

Interesy obywatela Dantona

jak u innych utopistów, ale mocne akcenty krytyki politycznej:

„Gdzie tu wolność, gdy potrze-by czynią ogółoconego ze wszystkich stron zależnym? Gdzie równość, gdy jedni widzą, że dla nich zrobiono wszystko, inni zaś że wszystko zrobić by trzeba?”

Jest to już zasadnicza polemika z rewolucją taką, jaka realnie wyla-niała się z nadziei złotych malowideł. Jeśli podobne przekonania ma-skował sam Nieprzekupny, to musiał przeżywać gorzko dylemat Engelsa. Był organizatorem, realistą zbyt trzeźwym, by ludzi się, że wsączy w życie instytucjonalne program ta-lonych marzeń. Siły i zasoby kraju były w rękach klasy, która objawia-ła zupełnie inne apetyty. A jeśli tak to po co mu władza? Albo raczej: co w tych warunkach jest realnie do zrobienia? Może przypomniał sobie wtedy Friedricha G. Klopstocka, od trzech lat już honorowego oby-watela Republiki. Sędziwy klasyk powitał wybuch rewolucji słowami

„Kennet euch selbst”. Rewolucjo, po-znaj sama siebie...

Zygmunt Greń po wrocławskim „Thermidorze” pisał: porażenie wła-dzą. A jeśli również — porażenie ży-ciem? Bo jaka ironia losu: osadzić maksymalistę na funkcji usługowej... Ten, który tak mało brał dla siebie, wciął rozpięty między marzeniem a powinnością, wciął prymus, pilny uczeń życia (Nowego Życia) — jeśli przekonał się wreszcie, że jest kurą wysiadującą niepojęte jakieś kaczkę? To Życie dużą literą, jak lubiła pisać Przybyszewska, opleśniając zbywszy się kory, było nadal nie-odgadnionego kształtu. Pazury i ryje, i ta „uroda życia” wydzierająca krzyk protestu u żony Dantona — czyżby to miało być TO? Jeśli tak, to coż po władzy człowiekowi, który znalazł się „nie na swojej ulicy”?

Tragedia Rozumu, tragikomedia ra-cjonalisty. Nie ruszajcie ramionami — jej elementy odnajdziemy i w naszym trzydziestoleciu... Czy przeczuwał, roz-zumny, nurzając ręce — ręce Wład-dy! — w kłębawisku żywiołkowej magmy, że już niebawem (bo coż to jest

lat 10?) odpowiedzią prowizoryczną na pytanie szlachetnego Niemca (a pro-wizorki trzymają się długo!) będzie po prostu Kodeks Napoleona?

Czy nie lepiej by szcziło to wszystko w diabły, sfianę na skrzyni w Hyde Parku i zachłysnąć się chwilą szczęścia — wykrzyzczyć spod serca swoje Uto-pie? Ale w Paryżu takiej skrzyni dla niego nie było.

Więc próbował przezwyciężyć swoje porażenie. (Barras notuje: zaczął się u-śmiechać!) Jeśli sięgał po przywódz-two, to już inaczej: nie przez dyktat, lecz drogą perswazji, w parlamencie. Czyżby nie pamiętał, że tenże parla-ment wyjął spod prawa przeciwnego mu intelektualistę, Condorceta, zastu-żonego reformatora oświaty i wielkie-go matematyka? Co tam mógłby zdziałać? Przedstawiać żywiołom obraz sensu i ładu moralnego? A więc chciał się ludzi. „Te przedłużające się kon-wulsje, które rozdzielają nasze zgromadzenie, są niczym innym niż walką przesądów z zasadami, egoizmu z do-brem ogółu, pychy i namiętności mo-żnych — z prawem, a także z potrze-

zami maluczkich”. To już słyszeli od niego. I tak... zabrakło wspólnych słów.

Ale odrzućmy wreszcie parszy-wiutką legendę, że krasnoludki oca-liły kraj przed krwawym tyranem! Winniśmy to własnemu rozsądkowi. Nie było tam purytańskich preto-rianów Cromwella, nie ugadywał Robespierre stronników, nie mobilizował rewolucyjnych sekcji Paryża przeciw parlamentowi. Zamachy szyciły się zupełnie inaczej. Bona-parte np. znał równie dobrze oba ję-zyki. Do intelektualistów z Instytu-tu pisał:

„Jedynie zwycięstwa, które nie po-ciągają zgrzytów sumienia, to są zwy-cięstwa odnoszone nad ograniczeniami rozumu!”

A oto język zamachu stanu. Bona-parte mówi, czy Arturo UI? Dopra-wdy, Brecht chyba odpiął:

„Reprezentanci Narodu! Stoicie na wulkanie. Pozwólcie mi przemówić do was ze szczerością żołnierza i łakną-cego dobra obywatela... Wezwałem moich towarzyszy broni i znalazłem ich przy sobie: przyszli ofiarować wam opiekę naszego ramienia...”

Niech te uwagi (dalekie jeszcze do ogarnięcia tematu) będą przyjęte jako wyraz wdzięczności dla teatru. Miarą oddziaływania spektaklu jest przede dalsze jego życie w widzu, po przedstawieniu. Otóż dzięki Przy-byszewskiej przeżyłem jedną z naj-większych przygód w zakresie re-pertuaru polskiego. Całe tygodnie lektur, szaleństwa... Nie przypusz-czałem, że te dwie postaci otworzą mi takie perspektywy.

Z wszystkiego, co tu napisałem, wynika, że Danton krakowski to nie jest jeszcze ten Danton. Oddając

namieć tylekroć podziwianym kom-petencjom aktorom Jerzego Nowi-ka, Danton to nie Pankracy. Np. po-dejście do kobiety... Mieliśmy więc „połowę Dantona”, ale gęstą, bez miejsc pustych, i to robiło wrażenie. Interesująco wypadł debiut Jerzego Kryszaka jako Robespierre'a, już choćby przez „inność”, osobność tej postaci. Został więc zarysowany szkic, który winien się rozwijać z biegiem spektakli. Nasyconą emo-cjonalnym skupieniem postaci, którą się pamięta, stworzył Andrzej Bal-cerzak jako Philippeaux. Znakomi-ty Merlin Juliana Jabczyńskiego! Ten śmiech pełen pogardy i rozpa-czy... Doprawdy, w tym epizodzie były elementy godne Dantona. Wła-ściwie cała wielka obsada (panowie grają po dwie postaci) choć bardzo staranna, że wymienię jeszcze ty-lko jeszcze: Delacroix (W. Ziętarski), Bourdona (M. Cebulski), Legendre (L. Kubanek), Fabre (E. Fulde), Deoulin (R. Michalewski) i Wester-mann (J. Ostrowski). Scheheria Woj-ciecha Krakowskiego sugestywnie i wiernie oddaje „rzymską” patetykę i oschłość pomieszczeń oficjalnych, natomiast kulisom i życiu prywatne-mu brak było wartości kontrastują-cych — owego „smaku życia”, o któ-rym mówią pamiętniki. Bardzo do-brze wiążą się ze stylem Przyby-szewskiej wyświetlane przed po-szczególnymi obrazami fragmenty tekstu. Można by, przez inny dobór materiałów, wyzyskać ten środek jako komentarz i doping dla widza-kibica dramatu. Muzyka Adama Wa-lacińskiego trafia jak zwykle w spe-cyfikę inscenizacji.

JÓZEF MAŚLIŃSKI